KRÓL GAŁGANIARZY

Brat Zeno Żebrowski

Wilhelm Hünerman: Geschichte der Weltmission,
II. Band. Rex, Verlag Luzern München

Tłum Ks. Jerzy Groszewski MIC

Lodowaty wiatr miotał się po holach dworca w Tokio. Podróżni śpieszyli do swoich pociągów. Tylko przy wejściu do jednej z poczekalni parę tuzinów osób zdawało się nie ulegać ogólnej gorączce.

– Co tu jest do zobaczenia? – spytał korespondent wieczornej gazety z Nagasaki, który zawsze węszył za sensacją.

– Niech pan zobaczy sam – odpowiedziano mu. I to, co zobaczył reporter, zaparło mu oddech. W kącie poczekalni siedmiu łobuzów o zdziczałym wyglądzie otaczało zakonnika w habicie franciszkańskim. Chwytali zachłannie ubranie, spodnie, płaszcze, które ten wydobywał dla nich z worka. Potem zrzucali swoje cuchnące łachmany, a nakładali nowe. Braciszek rozmawia wesoło z tą rozmamłaną klientelą. Pomaga im ubierać się, jednemu zapina marynarkę, drugiemu zakłada nowe spodnie.

– Patrz, chłopcze, ta marynarka będzie ci pasować – zwraca się do umorusanego łobuziaka.

– Nie, nie ta. Ta trochę dla ciebie za mała. Ta będzie dobra.

Niesamowicie zaciekawiony reporter zbliża się do chłopaków i zapytuje, kim jest ten człowiek z długą białą brodą i wesołą twarzą dziecka. 14-letni wyrostek, który już zmienił ubranie, objaśnia mu:

– To Brat Zenon. Poznałem go kilka dni temu. Wyciągnął mnie z kanału miejskiego, gdzie spędziłem noc. Nakarmił i umówił się ze mną na dziś, spotkanie tutaj. Obiecał mi dać ubranie, ale kazał też przyprowadzić z pół tuzina kolegów. Powiedział, że zajmie się wymianą naszych łachów. Widzi pan, że dotrzymał obietnicy.

– Ty nie jesteś z Tokio?

– Nie, przyjechałem do Tokio tego lata, bo mówiono mi, że można tu zbić szybko majątek. Nie zagnieździłem się jeszcze w Tokio i chciałbym wrócić na wieś, ale nie mam pieniędzy na powrót do domu.

– A coś robił przez cały czas pobytu w Tokio?

Łobuziak rzucił na niezajomego zaniepokojone spojrzenie.

– Czy pan z policji? – zapytał nagle.

– Nie, pracuję dla dziennika i bardzo bym chciał napisać o was i Bracie Zenonie artykuł. Opowiedz mi więc swoje dzieje.

– A da pan parę jenów?

– Naturalnie. Reporter wyjmuje banknot stujenowy, który natychmiast ginie w kieszeni chłopaka. A więc coś robił w Tokio?

– Co miałem robić? Starałem się zdobyć forsę. Próbowałem wszędzie, aby mnie przyjęto do pracy: w fabryce lakierów, w wytwórni zapałek, w hucie szklanej, ach, wszędzie. Nigdzie mnie nie chciano, wszędzie wypraszano za drzwi. Wtedy (też bez powodzenia) usiłowałem być czyścicielem butów, gazeciarzem, wreszcie nurkiem. Na koniec robiłem to, co wszyscy cuchnącej dzielnicy Tokio. Co rano brałem pod pachę worek i robiłem obchód

skrzynek na śmieci, szukając szmat, papieru, starych butelek. Ale gałganiarze z Adachi nie chcieli konkurencji. Obili mnie wielekroć, tak że wreszcie mnie odeszła wszelka ochota do tego rzemiosła.

– A potem?

– Potem? Zacząłem żebrać, kr...

Ale pan naprawdę nie jest z policji?

– Nie. Jestem dziennikarzem. Możesz mi wszystko mówić, nic złego ci się nie stanie.

– Tak. A więc kradłem też. Pan rozumie. Byłem głodny. Polem działania był wielki sklep. Tygodnie go obrabiałem w Kojibishi.

– I zamknęli cię?

– Tak, ale po co ja to panu mówię?! Przez miesiąc zaprawiałem się jako tkacz mat. W ostateczności nie było to najgorsze. Mogłem przez cały czas wypełnić brzuch papką z ryżu lub zboża i miałem przynajmniej dach nad głową.

– A gdy wyszedłeś, gdzieś nocował, będąc na wolności?

– Mówiłem już panu, w ściekach kanalizacyjnych, w budach, na ławkach metra, pod mostami, w kącie klatek schodowych. Tysiące chłopców żyje w Tokio tak jak ja.

Tymczasem Brat Zenon przebrał już swoje towarzystwo.

– Teraz wyglądacie jak samuraje – rzekł, śmiejąc się wesoło. – Tylko wasze fryzury nie pasują do ubrań. Chodźcie, pójdziemy do fryzjera.

Reporter dołączył się do grupy i w drodze zbliżył się do franciszkanina.

– Przepraszam bardzo, chciałbym przeprowadzić z Bratem krótki wywiad. Jestem dziennikarzem.

– Piękny zawód. Radzę go nie zmieniać. Tylko dlaczego pan chce koniecznie go praktykować moim kosztem?

– Widzi Brat, chciałbym bardzo wiedzieć, dlaczego Brat poświęca tyle troski tym małym łazikom.

– O, pan pyta dlaczego? Czyż pan nie widzi, w jakim oni są stanie? A takich jest tysiące w naszym wielkim mieście. Czyż nie jest naturalną rzeczą przychodzić im z pomocą?

– Od dawna Brat w Japonii?

– Minęło już trzy dziesiątki lat, odkąd opuściłem mą rodzinną Polskę, aby tu przybyć. Tak. To było w 1930 roku. Od tego czasu stale wyszukuję ludzi, którym mogę przyjść z pomocą. Zwłaszcza szukam owych kochanych a złych chłopaków, którzy robią wszystko, aby mi życie utrudnić.

– Skąd Brat czerpie środki, żeby im pomóc?

– Mój Boże, a skąd pan chce, żebym brał? Żebrzę po trochu to tu, to tam, ale mam też swoich przyjaciół, którzy mi przy okazji wysuplą parę

jenów, pan nie wierzy, ale są nawet dziesięcioletni uczniowie, którzy mi oddają swoje kieszonkowe z całego tygodnia. Wyrzekają się łakoci, bym mógł kupić chleba, ryżu i innych rzeczy pierwszej potrzeby dla biednych.

– A czy Brat działa tylko na terenie Tokio?

– O, wcale nie. Jestem włóczęgą. Przemierzyłem cały kraj od Hokkaido na północy do Kiusiu na południu. Wszędzie, tam gdzie mogę, chcę coś pomóc.

Brat misjonarz wydawał się zażenowany. Przeciągnął rękę po opalonej głowie. Chłopak, który opowiadał reporterowi swą smutną historię, zbliżył się do zakonnika, szepcąc mu do ucha:

– Niech Brat weźmie od dziennikarza opłatę za wywiad. Mnie dał 100 jenów.

– Magao, nie pleć głupstw – mruknął franciszkanin. – Nie mogę domagać się zapłaty za swą gadaninę.

– Umieszczę artykuł w wieczornej gazecie nagasackiej o Bracie i jego działalności – powiedział reporter, którego uwagi nie uszła ta krótka wymiana zdań. Jestem przekonany, że artykuł pobudzi wielu do udzielenia Bratu pomocy w jego pięknej pracy. Proszę tylko powiedzieć, pod jakim adresem mam przesyłać dary.

– Do klasztoru Seibo no Kishi w Nagasaki, gdzie mam punkt oparcia. To by wcale nie było złe, gdyby jakieś litościwe dusze zechciały mnie wspomóc. Nędza jest tak wielka, że każdego jednak chętnie przyjmę.

– Bardzo dziękuję Bratu za łaskawe udzielenie mi życiowych informacji – mówiąc to, reporter skłonił się głęboko przed skromnym zakonnikiem.

– Myślę, że Brat niedługo będzie czekał na wieści ode mnie.

– Dobrze. Tym bardziej, że mam w planie bardzo piękne sprawy do załatwienia dla moich biednych. Zgadzam się na wszystko. Do widzenia, mój drogi panie.

Brat zaprowadził swą bandę nie do salonu piękności o ścianach wykładanych lustrami i z marmurowymi umywalkami, ale do biedniutkiego zakładu w wąskiej uliczce. Nasz figaro jednak znał franciszkanina. Ponieważ nie ostrzygł zmierzwionych i zawszonych głów 7 małych włóczęgów według ostatniej mody, to i niedrogo wziął za to. Teraz wyglądali zupełnie miło. Nie można było prawie rozpoznać tych malców, gdy wychodzili od fryzjera. Brat Zenon zaprowadził ich na dworzec i kupił im bilety, żeby mogli wrócić do domu.

– Sayonara – do widzenia – wołali chłopcy do swego opiekuna, żegnając go przy odjeździe.

– Sayonara – odpowiada Brat Zenon. – A pamiętacie, coście mi obiecali.

– O tak – słychać jeszcze z okien. – Zrobimy wszystko, aby stanąć na nogi.

Nowa praca czeka na Brata. Drobnym krokiem idzie na wieś gałganiarzy do Adachi, na północny wschód miasta.

Nad Tokio zawisły szkaradne chmury, które chlupią deszczem zmieszanym ze śniegiem, im dalej idzie Brat, tym drogi i uliczki stają się brudniejsze. W Adachi błoto jest tak wielkie, że można pogubić buty.

Na jednym z podwórzy stoi około 20 nędznych baraków zbitych z desek. W nich mieszka biedota wyrzucona przez wielkie miasto. Misjonarz wchodzi do jednej chałupy. Kobieta, która gotuje tu pod oknem wodnistą zupę, podnosi oczy na wchodzącego.

– O, co za miły gość! Proszę Brata, czy Brat chodził go zobaczyć – wykrzykuje, wycierając w fartuch powalane przy pracy ręce.

– Tak, widziałem twego męża na Kojibashi. Prosił, ażeby was pozdrowić, panią i dzieci.

– Proszę wejść. – Kobieta z twarzą zszarzałą, zżartą przez smutek, wprowadza zakonnika do swego «mieszkania», pojedynczej izby o powierzchni 4 metrów kwadratowych. Naftowa lampa wetknięta w otwór przepierzenia oświetla jednocześnie mieszkanie sąsiada.

Pięcioro dzieci w łachmanach, drżących z zimna, nie mytych, o głodnych twarzach siedzi w brudach. Najmniejsze ma całą głowę pokrytą wstrętnym strupem. Brat japońskim zwyczajem siada na ziemi, a zaciekawione dzieci zbliżają się do niego.

– Rozpacz – jęczy kobieta. – Żebym to wiedziała, od czego zacząć. Zazwyczaj mieliśmy zaledwie z czego wyżyć, ale teraz gdy mąż w więzieniu, przyjdzie nam umrzeć z głodu.

– Szmaty tak mało wam dają? – zapytuje Brat.

– A co Brat chce, żeby dały? Szef Kaisho (stowarzyszenia gałganiarzy) płaci coraz gorzej. Jak było wyżyć z dziećmi, gdy mąż zarabiał na dzień 200 jenów. Wziął się więc do kradzieży. Jedynie bieda popchnęła go do pochwycenia na rynku dwu główek kapusty. Ale dał się złapać i policja wsadziła go do Kojibashi. Skazano go na dwa miesiące więzienia, za dwie główki.

– A opieka społeczna?

– Nie daje ani jena.

Brat Zenon wysupłuje z kieszeni banknot tysiącjenowy.

– Tadasama – zwraca się do najstarszego z malców – popatrz, weź pieniądze i idź do sklepu kupić, czego twej mamie potrzeba.

– Tyle pieniędzy! – bełkocze chłopiec, wytrzeszczając oczy. – Za to można kupić mnóstwo ryżu, mnóstwo jajek i mnóstwo fasoli. A może przynieść ryb i herbaty, mamo?

– Niech Bóg Bratu wynagrodzi za to, co robi dla biednych – mówi kobieta, wybuchając łkaniem.

– Gdybyśmy Brata nie mieli, bylibyśmy zgubieni.

– Jakoś idzie – broni się franciszkanin. – Powiedz synowi, co ma przynieść. Jutro przyślę jeszczę paczkę z ubraniem i żywnością. Mam w mieś-

cie kilku dzielnych studentów, którzy wyręczą mnie w tym kursie.

– Mogłabym zbierać tyle szmat, co mój mąż, ale przecież nie mogę zostawić zupełnie samych dzieci, one są jeszcze takie małe.

– Tak, dzieci. – Brat Zenon zastanawia się. – Ile masz lat teraz Tadasama?

– Dziesięć.

– A chodzisz do szkoły?

– Nie mam na to chęci. Inne dzieci śmiałyby się z moich łachów.

– Zresztą nie mogłabym opłacić szkoły – wtrąca matka twardo. – Nauczyciel chce 40 jenów miesięcznie. Do tego, żeby zbierać gałgany, nie potrzeba umieć czytać i pisać.

– Załatwię, co potrzeba, żeby Tadasama miał odpowiednie ubranie, i za szkołę zapłacę. Gdy dziecko pójdzie do szkoły, nauczy się jakiegoś fachu i potem nie będzie potrzebowało być gałganiarzem. Cieszysz się, Tadasama, że będziesz się uczył?

– Tak, bardzo.

– Co zaś do innych dzieci, to do powrotu ojca trzeba je oddać do sierocińca.

– Byłoby to z pewnością najlepsze rozwiązanie – wzdycha matka.

– A więc dobrze, przygotuję wszystko – kończy Brat. – A teraz trzeba mi iść już stąd. Mam jeszcze inne dzieci pod swoją opieką, które czekają na mnie.

Trochę dalej zachodzi Brat do 70-letniego starca pokręconego przez podagrę. Siedzi on na sienniku. Dawniej państwo dawało mu zapomogę w wysokości 1900 jenów, ale po ostatniej obniżce otrzymuje tylko 1200 jenów. Po zapłaceniu mieszkania, światła, wody pozostaje mu jeszcze 27 jenów na życie. Cóż by w tych warunkach mógł zrobić stary Kubi, gdyby się nim nie zajął Brat. Dzisiaj Brat Zenon stara się na wszelki sposób nakłonić go, żeby pozwolił się umieścić w domu starców prowadzonym przez Siostry Miłosierdzia.

Brat Zenon ma swych najwierniejszych pomocników wcale nie wśród bogatych, ale w «Mieście Mrówek» – jak nazywają robotnicy dzielnicę Tokio. To mężczyźni i kobiety prowadzący małe przedsiębiorstwa, którzy za 16 godzin ciężkiej pracy, mogą wydobyć 100 do 300 jenów dziennie, mają otwarte serca dla biednych, biedniejszych od siebie.

Tego dnia jeszcze Brat Zenon obszedł swoją dzielnicę i zebrał pełny wózek starej odzieży oraz 10 tysięcy jenów z „Miasta Mrówek". Gdy Brat Zenon nie wiedział, co począć, lub zapasy mu się wyczerpały, udawał się do kolegium OO. Jezuitów, by zwierzyć się ze swoich kłopotów O. Franciszkowi Ksaweremu Meyerowi.

Od trzech dziesiątków lat synowie św. Ignacego dokonują w dziedzinie społecznej wielkich rzeczy. W 1931 r. O. La Salle wypowiedział biedzie zażartą walkę. Z pomocą studentów katolickiego uniwersytetu św. Zofii stwo-

rzyli na tzw. Mikawashima Osiedle Zofii. Była to wtedy najbiedniejsza dzielnica w Tokio. Otwarto ośrodek opieki nad niemowlętami, ośrodek rozdziału żywności i ubrań. Później powstaje ośrodek dziecięcy, bezpłatna przychodnia lekarska, szkoła wieczorna.

Ojciec Michał kontynuuje rozpoczęte prace. Odbudowuje osiedle zniszczone w czasie wojny z całą dzielnicą przez pożar. Biedni w dalszym ciągu nie są w stanie płacić komornego w nowych dzielnicach. Wybierają więc za mieszkania blaszane domki ciągnące się nad rzeką Arakawa w Adachi, Matsudo i Smiri. I tam znów studenci śpieszą im z posługami.

W 1954 r. O. Meyer zajmuje się biednymi. Mieszkają oni po różnych norach, pod mostami, w barakach zbudowanych na palach w rzece. Dlatego nazwano tę dzielnicę „Małą Wenecją" Tokio. Jezuitę znano we wszystkich dzielnicach zamieszkałych przez biedaków.

Japończycy nazywają go „Shimpusama", bo z pomocą studentów roznosi ryż, masło, sproszkowane mleko, fasolę, ubrania. Chętnie też udziela każdemu rad i wsparcia.

O. Meyer przyjmuje Br. Zenona z serdeczną radością.

– Proszę siadać – mówi, podsuwając mu krzesło. – Jest Brat śmiertelnie zmęczony.

– O tak, niezgorzej, Ojcze – wzdycha Brat. – Chociaż właściwie nie mam czasu na zmęczenie. Tyle nędzy woła o pomoc.

Bóg go obdarzył specjalnym talentem odnajdywania we właściwym momencie ludzi, którzy go potrzebowali. Jednego dnia, gdy czekał na tramwaj, zobaczył kobietę, która trzymała w ramionach płaczące dziecko. Pozostawił nadchodzący tramwaj i poszedł za kobietą. Na pobliskim moście podszedł do niej. Spostrzegł bowiem, że wyczerpana opiera się o zimne kamienie bariery.

– Nie rób tego, córko moja – mówi serdecznie Brat. – Na pewno znajdzie się inne wyjście, niż to w wodzie.

– Skąd to wiesz? – wyjąkała kobieta.

– Dobry Bóg powiedział mi, co chcesz zrobić. Opowiedz mi, co ci dolega.

Biedna matka wyjaśnia, przerywając co chwila gwałtownym łkaniem. Opuściła Tokio oraz męża pijaka i brutala, ale w Jokohamie nie mogła znaleźć ani pracy, ani noclegu.

– Cóż mam w tych warunkach robić – szlocha kobieta. – Miasto ma twardy bruk, ale tam w głębi miękko nam będzie, zaśniemy spokojnie.

– Spokojnie, spokojnie – mówi stary Brat z ożywieniem. – Ja ci na pewno mogę pomóc. Nie odchodź. Poczekaj. To zabierze mi trochę czasu, ale ja ci na pewno pomogę.

– Oddalił się tak szybko, jak mu na to pozwoliły jego stare nogi. Po dwu tych godzinach wrócił z workiem pełnym żywności i ubrania.

– Nie można ode mnie żądać, abym był szybciej z powrotem, moja dobra kobieto – mówi, ledwie dysząc Brat Zenon. – Bardzo daleko do najbliższego klasztoru. Ale będziesz miała przynajmniej co jeść i ciepłe ubranie.

– Dziękuję, och, dziękuję – jąka nieszczęśliwa ze łzami w oczach. – Jesteś zacnym człowiekiem. Bardzo dziękuję za ten dobry chleb. Ale moje dziecko jest jeszcze tak małe. Jemu potrzeba mleka. Brat Zenon uderza się w czoło.

– No, naturalnie, że mu mleko potrzebne. Jakiż głupiec ze mnie, że zapomniałem o tym. Poczekaj jeszcze chwilę. Odchodzi jeszcze raz. Biegnie do najbliższego sklepu i zaraz przynosi butelkę mleka.

– Teraz dzidziuś będzie miał co jeść – mówi wesoło. – A wieczorem pójdziesz do schroniska Sióstr Miłosierdzia. Udzielą ci gościny przynajmniej na kilka dni, a w tym czasie na pewno znajdzie się dla ciebie jakaś praca. Pójdę pomówić z Matką Przełożoną i zapowiedzieć twoje przybycie. Bóg Cię nie opuści. Na pewno nie opuści. – Brat Zenon pokazuje jeszcze kobiecie drogę, a potem nagle znika nie dając jej czasu na podziękowanie.

Przy grobli portowej natyka się na obszarpanego włóczęgę. Wciska mu kilka jenów w garść, a potem pilnie przygląda się biednemu szelmie, kiwając głową.

– Zdałoby ci się bardzo jakieś przyzwoitsze ubranie, mój synu – mówi z litością. – Zaczekaj tu na mnie. – Po upływie godziny wraca z marynarką, koszulą, spodniami i pięknym białym kapeluszem.

– Za mały – wykrzywia się nędarz, przymierzając kapelusz.

– Będzie dobry. – Brat Zenon prowadzi poczciwca w ustronny kąt placu. Tam wyciąga nożyce z kieszeni i całkiem spokojnie zabiera się do obcięcia skołtunionych i zawszonych włosów, mrucząc jednocześnie.

– Każdy powinien mieć czyste serce, choć jego włosy są zbyt długie i brudne i choć stroni od ogółu ludzi. – Gdy «runo» spadło na ziemię, kapelusz wchodzi już doskonale na głowę. Dobroczyńca chowa nożyczki i odchodzi.

Brat Zenon kontynuuje swą «włóczęgę». Na brzegu drogi prowadzącej do Nagoi siedzi chłopak bosy i brudny. Brat widzi, w jakiej jest biedzie, więc przysiada się do niego i wysłuchuje jego historii.

Chłopiec pochodzi z Osaki. Niedawno stracił ojca i uciekł z domu, aby nie być ciężarem dla matki, która i tak ma do wyżywienia czworo dzieci młodszych od niego.

– Ot, pomysł szalonej głowy – strofuje starzec. – Matka może umrzeć ze zmartwienia o ciebie. Chodź ze mną.

W Nagoi prowadzi chłopca na dworzec, kupuje bilet i wsadza do pociągu. – Pamiętaj, powiedz matce, że przyjadę do ciebie od dziś za tydzień o godzinie trzeciej po południu na dworzec główny Osaki. Przywiozę wam,

co jest najbardziej konieczne do życia. Oczywiście, ty musisz wrócić do szkoły.

– Szkoła kosztuje bardzo drogo. Nie, nie możemy już za nią płacić od śmierci ojca.

– Od dziś ja będę twym ojcem i zajmę się tobą. Szczęśliwej podróży. I nie zapomnij: za tydzień, o godzinie trzeciej po południu na głównym dworcu.

Brat stawia się punktualnie co do minuty na umówione spotkanie. Widzi wdowę, która go oczekuje wraz z synem w holu kas biletowych. Wydobywa ze swego worka ubranie i żywność, dodając jeszcze biedniej wdowie dwa tysiące jenów, aby mogła na powrót posyłać syna do szkoły.

Kiedy nareszcie wrócił do klasztoru w Nagasaki, oczekiwała nań wielka niespodzianka. Czytelnicy wieczornej gazety nadesłali biednemu Bratu tak wielką sumę pieniędzy, jakiej dotąd nigdy nie widział. Jednocześnie całe stosy ubrań, bielizny i żywności.

– Teraz znów bierze mnie chęć, aby natychmiast puścić się po prostu w drogę, żeby to wszystko rozdzielić – mówi radosny, ale Ojciec Gwardian uważa, że nadszedł wreszcie czas, żeby trochę wypoczął.

Przez kilka najbliższych tygodni Brat zaledwie może się opędzić reporterom, którzy w następstwie artykułu, jaki ukazał się w gazecie wieczornej, chcą go zobaczyć.

Ze wszystkich stron ukazują się o nim i jego dziele miłosierdzia długie artykuły. Wszyscy śpiewają hymny pochwalne na jego cześć.

Sylwetka skromnego Brata i jego wielkie dzieło pomocy chwyta za serce czytelników. Dary napływają coraz liczniej. Ten człowiek, który dotąd przebiegał kraj z workiem żebraczym, dysponuje nagle wieloma milionami jenów.

W czasie jednego ze swych pobytów w Tokio, składa mu wizytę dyrektor telewizji i robi propozycję, aby wziął udział w programie aktualności. Choć wbrew przekonaniu stary Brat przyjmuje propozycję, wkrótce też staje przed reflektorami i kamerami filmowymi. Staruszek stracił zupełnie głowę: zdobył się tylko na nieśmiały uśmiech i kilka słów. A gdy tylko reporter poprosił go, by powiedział coś o ludzkiej biedzie, Brat Zenon zmienił się zupełnie. Trema całkiem znikła. Tu dopiero mógł ulżyć sercu w tym, co go tak przygniatało. Mówi z takim zapałem, wkłada tyle gorącego uczucia, że porusza tysiące widzów.

O, tak. Od tego dnia Brat Zenon jest człowiekiem wielkich możliwości. Przypomina sobie, co mu kiedyś mówił O. Meyer jezuita. Jego też rozpala obecnie olbrzymi plan śpieszenia z pomocą biednym i wydziedziczonym. Dzięki darom, które teraz całą falą napływają ze wszystkich zakątków kraju, buduje u bram Tokio wioskę dla biednych, której daje miano „Acikai Bura-

ku". Setki całe spomiędzy najbardziej wydziedziczonych znajdują tu pewne schronienie. Większa część mieszkańców to szmaciarze. Dobry Brat dostarcza im nawet wózków, bo jako ojciec i król „Acikai Buraku" ma serce otwarte na każdą nędzę swych dzieci, jakby ich niedola była jego niedolą.

Każdy Japończyk zna dziś tego człowieka o białej brodzie i wielkich oczach dziecka i przychodzi mu z pomocą, by mógł służyć w swej pokorze pokrzywdzonym przez życie. W międzyczasie Jezuici rozpoczęli budowę „Wioski Bożego Narodzenia" i tak rywalizują ze skromnym Bratem Zenonem Żebrowskim w trosce o niesienie ulgi dzieciom dobrego Boga, dzieciom najbiedniejszym i najbardziej opuszczonym.

DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO –
Za zgodą i na zlecenie Kurii Prowincjalnej
OO.FRANCISZKANÓW w W-wie z dnia 1985.03.18. L.dz. 176/85
Druk: KN 281/85/1000